

Ukraina to fikcja

Andrij Lubka

Ukraina nigdy nie została stworzona, Ukraina to fikcja. W rzeczywistości do dziś trwa USRR: Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka.

Wsiadłem na pokład samolotu 1 grudnia ubiegłego roku, była godzina 12.05 – pięć minut wcześniej w Kijowie rozpoczęła się masowa demonstracja, dolecieć do kraju miałem po półtorej godziny. Poprzedniej nocy – po raz pierwszy w historii mojego kraju – oddziały specjalne rozgromiły studencką akcję protestu. Zastosowały siłę, goniąc chłopców i dziewczęta kilkaset metrów od centralnego placu Kijowa, by ich po barbarzyńsku pobić. Bito pałkami i kopano. W reakcji na to bestialstwo ukraińskie społeczeństwo zebrało się w centrum stolicy na tradycyjny wiec – powszechne zgromadzenie obywateli, coś podobnego do antycznej demokracji bezpośredniej.

Byłem za granicą, ale uznałem, że za wszelką cenę muszę wziąć udział w tym masowym i, jak mi się wówczas zdawało, decydującym wiecu. Właśnie dlatego w czasie przelotu z taką trwogą myślałem o wydarzeniach w stolicy. Wydawało mi się logiczne, że pierwszą masową akcją przeciwko Wiktorowi Janukowyczowi reżim brutalnie stłumi i nie obędzie się bez ofiar. Myślałem, że wyląduję w innym już państwie, w którym ludzie na ulicach są bici, w którym nie ma swobód i praw, w którym mogą cię zabić choćby za odmienne poglądy polityczne.

Dwa baseny

Jednak wszystko to zdawało mi się niewiarygodne – urodziłem się kilka lat przed upadkiem Związku Radzieckiego i nie pamiętam atmosfery państwa totalitarnego. Poza tym, przecież leciałem do europejskiego państwa, w XXI wieku, ze smartfonem w kieszeni oraz laptopem w plecaku, mając setki realnych i wirtualnych przyjaciół w zglobalizowanym i otwartym świecie. Czy rzeczywiście samolot mógł wylądować w miejscu, gdzie w naszych czasach zapanowała dyktatura? Czy rzeczywiście 10 procent terytorium Europy można nagle zamalować na brązowo, a czterdzieści sześć milionów ludzi odgradzić od reszty kontynentu betonowym murem i kolczastym drutem? Tysiąc razy w skroniach zapulsowało mi to tragiczne zdanie: „W południe 1 grudnia 2013 roku wyleciałem do Kijowa na pierwszą wielką manifestację, a gdy wylądowałem, moje państwo już nie istniało”.

Nagle przez głowę przeleciała mi myśl, która choć niwelowała poprzednie zdanie, to spowodowała, że oblałem się zimnym potem: tak naprawdę nie mam ojczyzny. Ja, dwudziestopięcioletni mężczyzna, nie odczuwam żadnej więzi z Ukrainą. Powiem więcej: pogardzałem wszystkim, co było związane z państwem ukraińskim. Wyobraźcie sobie: można kochać własny kraj, a jednocześnie dziko nienawidzić swoje państwo.

Wszystko to dlatego, że Ukraina nigdy nie została stworzona, Ukraina to fikcja. Tak naprawdę do dziś pokutuje USRR: Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka. Po 1991 roku w tym państwie nic nie zostało zmienione, nawet ustrój administracyjny. Komunistyczne gwiazdy do dziś wiszą na rządowych budynkach,

Przez ponad dwadzieścia lat niepodległości na Ukrainie nie dokonano modernizacji infrastruktury miejskiej: rur, ciepłowni, szpitali, szkół. Wszystko się rozwaliło, zmurszało i zdegradowało.

w centrum Kijowa stał pomnik Lenina (dzięki Bogu, zburzony podczas rewolucji), a osoby, które zajmowały najwyższe stanowiska w czasach komunistycznych, w nowych warunkach zostały oligarchami bądź politykami. Choć powyższe odnosi się do sfery symbolicznej, łatwo też znaleźć prostsze przykłady: w ciągu ponad dwudziestu lat niepodległości nie dokonano modernizacji infrastruktury miejskiej – rur, ciepłowni, stacji filtracyjnych, szpitali, szkół, posterunków milicji. Wszystko to pozostało w stanie nienaruszonym, często nawet niewyremontowane, i dlatego się rozwaliło, zmurszało i zdegradowało. Do jakiegokolwiek miasta byście nie zawitali, zimą jest tam jak w kurorcie z gorącymi źródłami: z pękniętych rur spod ziemi wydostają się kłęby pary, podczas gdy w mieszkaniach panuje chłód, bo do kaloryferów dopływa tylko 10-25 procent potrzebnego ciepła. I nie warto dodawać, że płacić trzeba za 100 procent. Marnotrawstwo surowców energetycznych w każdym małym ukraińskim miasteczku przybrało takie rozmiary, że cały kraj stał się zakładnikiem rosyjskich dostaw gazu. A to było na rękę Moskwie i wszystkim ukraińskim rządcom okresu niepodległości.

Latem w czteromilionowym Kijowie po dwa-trzy tygodnie nie było gorącej wody. Oczywiście władze wychodziły z założenia, że z powodu upału ludzie mogą myć się w zimnej wodzie. Powodem odcięć były „profilaktyczne remonty”, jednak pod koniec miesiąca ludzie otrzymywali takie rachunki, jakby przez cały czas gorąca woda lała się z kranów szerokim strumieniem. Może wydawać się to błahostką, ale biurokratyczna mafia obsiadła wszystkie gabinety, obywatel nie miał nawet komu się poskarżyć.

Na każdym kroku, gdzie Ukrainiec spotyka się z państwem, powstają problemy. Przyczyna jest prosta: nieadekwatność wielkiej radzieckiej maszyny biurokratycznej kierującej państwem do rzeczywistości XXI wieku. Na przykład w kwestii korzystania z basenów publicznych do dziś obowiązuje prawo z lat siedemdziesiątych

XX wieku, zgodnie z którym chętny musi najpierw przedłożyć zaświadczenie od dermatologa. Aby je otrzymać, często trzeba odstać cały dzień w kolejce, a i jeszcze łapówkę dać, tak więc, jak sami rozumiecie, większość ludzi w końcu na basen nie trafiała. Zaświadczenie od dermatologa ważne jest tylko tydzień, niewielu jest więc chętnych poświęcić cały dzień na użeranie się z biurokracją dla przepłynięcia dwóch długości basenu. W zupełnie innej sferze – kultury, sytuacja jest podobna. Ministerstwo, które rozporządza budżetem w wysokości 200 milionów dolarów, posiada tylko jeden adres elektroniczny, który zresztą nie działa. Jeśli napiszecie wiadomość z pytaniem, prośbą czy propozycją, nigdy nie otrzymacie odpowiedzi.

Fotografia z lotu ptaka

Wielkim kłamstwem było to, co analitycy głosili w przeddzień szczytu Partnerstwa Wschodniego w Wilnie (listopad ubiegłego roku), że oto Ukraina stanęła przed wyborem między Unią Europejską i unią celną. W rzeczywistości Ukraina już była w unii celnej: żyła według jej standardów i obowiązujących tam antydemokratycznych zasad. Tak, oficjalnie Ukraina nie podpisała żadnych papierów w sprawie członkostwa, ale w tej części świata dokumenty i przepisy nie mają znaczenia, tutaj działa telefoniczne prawo, zakulisowe porozumienia i intrygi. W Rosji, Kazachstanie czy na Ukrainie takie same są korytarze szkół i przychodni – zapuszczone, mroczne, jak piwnice. Jeśli zaś znajdziecie się w jasnym, przyjemnym pomieszczeniu świeżo po remoncie – bądźcie pewni, że to prokuratura, inspekcja podatkowa lub biuro partii obecnie rządzącej. Nie przesadzając, unię celną jestem w stanie odróżnić po zapachu. Dlatego uważam, że współczesna Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka w grudniu 2013 roku już należała do unii celnej.

Odnosnie do basenów publicznych do dziś obowiązuje prawo z lat siedemdziesiątych: chętny musi przedłożyć zaświadczenie od dermatologa. Aby je otrzymać, trzeba odstać dzień w kolejce i dać łapówkę.

O tym wszystkim myślałem w samolocie do Kijowa. A także o tym, że wydarzenia, które później będzie się nazywać Euromajdanem, absolutnie nie różnią się od tych z czasów pomarańczowej rewolucji 2004 roku, akcji Ukraina bez Kuczmy z 2002 roku czy walki o niepodległość w latach 1989-1991. Nieprzerwanie do

teraz na Ukrainie bowiem rozgrywa się – to cichnąc, to znów nabierając impetu – ta sama antytotitalarna, antyradziecka rewolucja, której celem jest przekształcić nareszcie USRR w nową Ukrainę.

Kiedy wylądowałem, mojemu rozczarowaniu nie było granic. Taksówka zawiozła mnie z lotniska do centrum Kijowa. Roztrzęsiony pędziłem na rewolucję, tymczasem

za oknem samochodu przemykały obrazki spokojnego mieszczańskiego życia: na ulicach Kijowa żadnych oznak chaosu, wszystkie centra handlowe działały, parkingi przed nimi pełne aut, po ulicach spacerowały rodziny z dziećmi. A w tym czasie w centrum Kijowa trwała największa w historii Ukrainy akcja protestu, w której wzięło udział prawie pół miliona ludzi. W ciągu następnych miesięcy – gdy Ukraina znalazła się na pierwszych stronach gazet na całym świecie – wielu wyobrażało sobie ukraińską rewolucję jako milionowe wiece, barykady i koktajle Mołotowa. Trzeba było dopiero przyjechać do Kijowa, by zrozumieć, że to rewolucja bardzo świadomego, cywilizowanego i dobrze wychowanego społeczeństwa: gdy na ulicy Hruszewskiego trwały walki i strzelali snajperzy, na sąsiednich ulicach otwarte były salony jubilerskie, zakochane pary przesiadywały w restauracjach, a kilka banków, które znalazły się wewnątrz zabarykadowanego Majdanu, kontynuowało działalność i nie miało żadnego problemu z zapewnieniem bezpieczeństwa sobie i swoim klientom. W taksówce zdawało mi się, że niepełna mobilizacja społeczeństwa świadczy o słabości rewolucji. Teraz rozumiem swój błąd – w rzeczywistości mamy do czynienia ze społeczeństwem, które dojrzało, które chce budować, a nie burzyć, i które pragnie na ruinach USRR zbudować nową Ukrainę.

Rewolucję tę trzeba nazwać syzyfową. Między pracą Syzyfa a naszym Euromajdanem jest pewne podobieństwo.

Strategia reżimu polegała na tym, żeby pognębić nas chłodem, zwątpieniem, ciągłym i zdawałoby się bezsensownym stanem. Bo niby rzeczywiście: nic się nie dzieje, końca protestów nie widać, ludzie nawet Nowy Rok witali na Majdanie, a potem przetrwali też dni, gdy temperatura spadła do minus 20 stopni Celsjusza. Paradoksalnie jednak nasza słabość i bezsensowność tego, co robimy, okazały się naszą siłą i mocą. Coraz bardziej tracąc siły, nasza rewolucja wygrała. Wszyscy chcieli zmieść Partię Regionów z kraju w ciągu dwóch, trzech dni, wszyscy spodziewali się szybkiego i pięknego triumfu, wszyscy spodziewali się, że marsz miliona udowodni władzom i światu nasze męstwo i potęgę. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że nam się nie udało, ale to nie tak.

Tak dojrzałej, mądrej i zdyscyplinowanej rewolucji w naszym kraju jeszcze nie było. Na samym początku, gdy wyjście na Majdan dziesięciu tysięcy Ukraińców przyjemnie zdziwiło opozycję, to po niedługim czasie, w niedzielę 1 grudnia było już milion protestujących. I ten milion wydał się czymś codziennym i normalnym. Tak, u nas rewolucja odbywa się zgodnie z rozkładem: w dni powszednie ludzi przychodzi znacznie mniej, a w nocy jest ich jeszcze mniej. Ale ludzie się wymieniają, przyjeżdżają do Kijowa na trzy, cztery dni, potem wracają do domów, a na ich

Ukraina wcale nie stanęła przed wyborem między Unią Europejską i unią celną. Ukraina już była w unii celnej: żyła według jej standardów i obowiązujących tam antydemokratycznych zasad.

miejsce przychodzi nowa zmiana. Kijowianie nie zaczęli masowo strajkować, ale na niedzielne mityngi przychodzą punktualnie i obligatoryjnie.

Oznacza to, że nam, nowo narodzonemu społeczeństwu obywatelskiemu, udało się zbudować system, w którym kraj wydelegował swoich przedstawicieli na Majdan, a sam kontynuuje pracę, by nie dopuścić do chaosu i upadku. Świadczy to o odpowiedzialności i dojrzałości: takiego obrotu spraw władze się nie spodziewały. Janukowycz i jego doradcy mieli nadzieję, że rozpędzi nas mróz, zwątpienie, że zabraknie nam czasu, że nie wytrzymamy, widząc, że rewolucja nie przynosi szybkich efektów. Jednak nie. Jesteśmy gotowi wychodzić na ulicę tak długo, jak to będzie potrzebne. Bo wycofać się nie ma gdzie. I co najważniejsze, dzięki tym protestom polubiliśmy samych siebie, nareszcie podoba nam się nasz kraj i nasz naród, pojawiła się wiara, że możemy coś zmienić. I niech teraz na Majdanie będzie te trzydzieści-pięćdziesiąt tysięcy ludzi, ale jestem pewny: w razie potrzeby, kiedy otrzymamy sygnał, znów wyjdzie nas milion, znów w metrze zabrzmi hymn narodowy, a bezbrzeżnych kolumn protestujących nie obejmie nawet fotografia z lotu ptaka. W tym leży nasza siła.

Umierać za Europę

Nasza rewolucja to rewolucja bez bohaterstwa, to rewolucja według grafiku. To rewolucja, w której zaszczytem jest być jedynie drobną kropeczką na zdjęciu milionowego tłumu. I więcej od siebie nie wymagamy – po prostu zgodnie z rozkładem chcemy być tym punktem na zdjęciu. Zdjęciu, które spędza Janukowyczowi sen z powiek. Zdjęciu, które prędzej czy później zmusi go do dymisji. I uwierzcie, lepiej być kropeczką na zdjęciu niż kroplą krwi na zimnym bruku.

Trzydzieści lat temu, 27 listopada 1983 roku, w jednym z czołowych francuskich czasopism opublikowano pamiętny esej Milana Kundery *Zachód porwany, albo tragedia Europy Środkowej*. Zaczynał się tak: „We wrześniu 1956 roku dyrektor węgierskiej agencji prasowej, kilka minut przedtem zanim artyleria ostrzelała jego biuro, wysłał w świat rozpaczliwy teleks o rozpoczętej tego dnia ofensywie rosyjskiej na Budapeszt. Depesza kończyła się słowami: »Zginiemy za Węgry i Europę«”¹.

Ten esej Kundery na wiele lat stał się fundamentalnym punktem odniesienia w dyskusjach o przyszłości naszej części świata. Mówił on o prostych sprawach – że Europa Środkowa znajduje się między Wschodem a Zachodem i między tymi dwoma potęgami nie czuje się bezpiecznie. Żyją tu „małe narody”, których państwowość i prawo do niepodległości zawsze było podważane, ich terytorium dzielone między imperia, ich języki zakazywane, a historie – przepisywane. Narody te są jednak buntownicze, romantyczne i dumne, i dlatego zawsze walczą o siebie i swoją przyszłość.

¹ Polskie tłumaczenie w: „Zeszyty Literackie” 1984, nr 5, pierwotnie tekst ukazał się w „Le Débat” (przyp. tłum.).

Owa buntowniczość, według Kundery, to jedna z głównych cech charakterystycznych dla mieszkańców Europy Środkowej. Pisał: „Czy Sołżenicyn, demaskując ucisk komunistyczny, powołuje się na Europę jako wartość naczelną, dla której warto umierać? Nie. Zdanie »zginąć za ojczyznę i za Europę« jest nie do pomyślenia w Moskwie czy w Leningradzie, lecz właśnie w Budapeszcie lub w Warszawie²”.

I na koniec coś pozytywnego. Od czasu publikacji eseju Kundery minęło trzydzieści lat. Wspomniane przez niego Polska i Węgry odzyskały wolność i wstąpiły do Unii Europejskiej. Dzięki Bogu, żadne z państw Unii nie chce z niej wystąpić, na odwrót – wszyscy, którzy jeszcze nie są we Wspólnocie, chcą uzyskać członkostwo. A do wspomnianych przez Milana Kunderę Budapesztu i Warszawy śmiało można dodać również Kijów, bo w nim właśnie mieszkają ludzie, którzy dla swojego kraju gotowi są wychodzić na Majdan nawet po dwudziestu latach rozczarowań. Środkowoeuropejską buntowniczość mają we krwi, co oznacza, że Europa Środkowa jest wokół nich. W takiej sytuacji podpisy pod umową stowarzyszeniową Ukrainy z Unią Europejską pozostają tylko kwestią czasu.

Piszę te słowa w dniach, gdy los Ukrainy i rewolucji nie jest jeszcze przesądzony. Nie zamierzam snuć domysłów ani niczego przewidywać, ograniczę się więc jedynie do stwierdzenia, że niezależnie od tego, czym się to wszystko skończy, obalić Ukraińską Socjalistyczną Republikę Radziecką jest łatwiej, niż potem budować nową Ukrainę. Mam wielką nadzieję, że my, Ukraińcy, w procesie tworzenia naszego nowego państwa będziemy tak samo wspaniali, dojrzały, odpowiedzialni, nowocześni, zorganizowani i cywilizowani, jak podczas naszej rewolucji, naszego Euromajdanu. 🏰

Przełożył Tadeusz Iwański

Andrij Lubka jest ukraińskim pisarzem i poetą młodego pokolenia.

² *Ibidem.*